

Olo o spektaklu *Od obozu do wywozu*

I na co mię to było?

To taki wieczór, który zaczynasz od zupełnie nieciekawego zaproszenia na przyjęcie do znajomych, którzy przywieźli zdjęcia z wyjazdu i urządzają pokaz. Jakiś tysiąc nieobrobionych zdjęć, częściowo nieostrzych, z palcem w kadrze. Może i wyprawa ładna, ale ten tysiąc zdjęć ciągnie się przez półtorej, a nawet i trzy godziny, więc na sam koniec masz już dosyć, chcesz wracać do domu i nie oglądać ludzi przez najbliższy tydzień. Nie chcesz, ale...

Nie chcesz, ale czeka ciebie ten zwariowany i zupełnie nawalony albo czymś naszprycowany gość. Chyba czeka, pewności nie ma, bo gra muzyka, a typka nie widać. Wiesz, że gdzieś tu jest, bo puścił muzykę, nawet ekran się świeci, ktoś rusza myszką. I wtedy mnie właśnie dopada pytanie: na co mię to było, na co mi teatr recenzować?

W końcu muzyka się kończy, kable udaje się na chwilę ze sobą połączyć, wpada Jaszczur, jest trochę śmieszny, atakuje sobą, narzuca się, wypełnia całą przestrzeń. Momentami jest trochę straszno, kable znowu się rozłączają, a tapeta Windowsów próbuje odzyskać należne jej miejsce na scenie, momentami monodram zamienia się w stand up, a czasami w dialog z technikiem. Jest bardzo osobiście, Jaszczur zbliża się do nas. Chaos, piękny chaos.

Jedno się zmienia niepostrzeżenie: umyka mi pytanie na co mię to było, że ono – to pytanie – się w toku show Jaszczura unieważnia. Zapominam, że wcześniej skradziono mi półtorej godziny, że nie chciałem przez moment chodzić na żadne spektakle, już nigdy. Zapominam o złości na siebie, że się do tej recenzji zgłosiłem. I jasne też się staje, że Jaszczur nie jest nastukany, tylko natchniony, i to pięknie natchniony.

O samym występie tak naprawdę można napisać na co tylko ma się ochotę. Można z zachwytem, można też zjebać.. Wszystko to, co potrzebne jest dla widowiska, czego oczekujemy od show tutaj było. Teksty wyborne, w punkt, błyskotliwe, ocierające się o geniusz. Scenografia przeładowana, ale niekoniecznie więcej sprzętu niż talentu. Choć technicznie padło.

My, na widowni śmialiśmy się. Byliśmy w tym wszyscy bardzo razem. Razem się złościliśmy, razem przerażaliśmy, ale też przez Jaszczura byliśmy z tego umiejętnie (lub nieporadnie – grunt, że skutecznie) wyciągani,

najczęściej śmiechem. Może to było naiwne, może warto byłoby nad występhem popracować, podszlifować. Ale, koniec końców, dostaliśmy wydarzenie bez precedensu, wyjątkowe w każdym calu. Przez swoją surowość i toporność tak bardzo celne i nadzwyczaj wartościowe. I mądre. Taki nieobrobiony samorodek, który – tak sobie myślę – po szlifowaniu mógłby też bardzo dużo stracić, bo w tej niby-naiwności tkwiła jego siła.

Obawiając się o naszą polską, narodową, międzyludzką przyszłość, dzięki Jaszczurowi boję się trochę mniej. Błazen po pięciuset latach wrócił na właściwe sobie miejsce. I pewnie po to mi to było.